2



MŁODY LAS

WRZESIEŃ 1938.





O ziemio Polska, kolebko nasza,
Szumiąca zbożem wkrąg naszych gniazd —
Kwieciem strojąca białe poddasza
W uśmiechach słońca, w migotach gwiazd.
Ty coś karmiła ojców i dziadów
Chlebem i mlekiem, jak karmisz nas,
Ziemio niw złotych, rumianych sadów,
Błogosławiona i pełna łask —
Na twoją chwałę, na twoją cześć
Wznosimy słoneczną tę pieśń:

O ziemio Polska! miłością naszych serc,
Trudem i znojem posianym w twoje łono
Wokół gniazd naszych, niezłomnych bo-
[żych twierdz
Kwieć się i pleń i bądź błogosławioną!

Józef Aleksander Gałuszka

GDY BOGOWIE PRZEMINĄ...

W chacie Piasta kołodzieja szumi jak w ulu. Na uroczystość postrzyżyn najstarszego Piastowego syna Ziemka zjechali się kmiecie nie tylko z najbliższej okolicy, ale z całego prawie kraju Polan, z nad Warty i Noteci, a także i z nad Wisły, po której wodach płyną galery, pełne wszelakiego bogactwa. Dobrze jest gościom w chacie gościnnego kołodzieja. Już słońce chyli się ku zachodowi, a jeszcze nikomu nie chce się opuszczać miłej drużyny. Od krzyku i gwaru drżą modrzewiowe ściany. Jaskółki skryły się pod strzechą, a duszki domowe, »ubożęta«, pochowały się po najciemniejszych zakamarkach chaty. Czekają na swoją chwilę. Wiedzą, że kiedy noc zapadnie, szczodry gospodarz zastawi im po kątach misy pełne smakołyków i napitku im nie poskąpi. Już to nigdzie nie może być lepiej »dziadom«, duchom przodków i »ubożętom«, duszkom chaty i opiekunom wszelkiej żywizny, jak pod strzechą pobożnego Piasta.

Ziemko, bohater dzisiejszej uroczystości, z tęsknotą obraca ku drzwiom chaty swą jasną, równiutko postrzyżoną głowinę. Przykrzy mu się i radby pognać do swego starego przy-



Fot. Pestalozz

jaciela Bożywoja, który złożony niemocą, nie mógł wziąć dziś udziału w święcie postrzyżyn.

— Matulu — szepce cicho do matki, która przechodząc z dzbanem miodu, musnęła go po głowie spracowaną ręką — ja tu nie jestem potrzebny, pozwólcie mi iść do gaju, do Bożywoja. Chciał mi powróżyć dziś, będzie czekał na mnie. Wrócę migiem do domu.

— Idź synku, — mówi Rzepka, nie mogąc się napatrzyć swemu pierworodnemu — poproś Dobka Lestkowica, żeby z tobą poszedł. A wróćcie, nim noc zapadnie.

Dobek, starszy o kilka lat od małego Ziemka, z radością zrywa się z ławy. I jemu także już dokuczyło siedzenie w zatłoczonej izbie. Jak pięknie jest na dworze! Nad strumykiem wije się błękitna smuga mgły. To rusałki wodnice tańczą nad wodą. Boginki nie boją się ludzi, ani też im nie szkodzą, tylko nie lubią, żeby człowiek podchodził do nich za blisko. Oto już rozwiały się, przepadły, tylko jeszcze woda pluszcze ich śmiechem. Chłopcy biegną teraz wzdłuż potoku do Świętego Gaju, którego zielona, zbita ściana złoci się przed nimi w zachodzącym słońcu. Ścieżka skręca na łąkę i gubi się w mroku, pod koronami dębów, poświęconych bogom. To jest Święty Gaj. Tu składa się ofiary dobroczynnemu bogu słońca, Dadźbogowi, który darzy ludzkie plemię światłem i radością, zbożem i owocami, zwierzyną w lesie i rybą w strumieniu. W ciepłe, księżycowe noce innemu bogu kłaniają się ludzie w tym gaju. Wpatrzeni w tarczę świecącą na niebie, modlą się do Swarożyca, boga ognia, którego znakiem jest srebrny miesiączek. I ten bóg samym tylko dobrem ludzi darzy.

— A kto jest zły? — pyta się Dobka nienasycony Ziemko.

— Dobry jest Dadźbóg i Swarożyc, dobre są ubożęta, strzegące naszych zagród. Dobre są dziady, jeśli im jeść i pić damy i miejsca przy ogniu im nie poskąpimy. Dobre są rusałki, bo świat napełniają weselem.



— Ale kto jest zły?

— Zła jest Marzanna, bo przynosi z sobą mróz, lęk i żałobę — odpowiada Dobek, zwalniając kroku, bo i on nie lubi ciemności Świętego Gaju. — Marzanna zsyła na ludzi chorobę i śmierć. Marzanna zsyła na ziemię okrutną zimę, Marzanna zasłania swoją ciemną chustą oblicze Dadźboga, aż wiedną kwiaty, opadają liście a wesołe boginki kryją się w dziuplach drzew i na dnie zamarzniętych strumieni. Dlatego na wiosnę topimy ją z taką uciechą. Zła jest także Jędza, baba okrutnica, kryjąca się w głębiach czarnego boru. I złe są strzygi i upiory, a także wilkołaki, które ludziom krew wysysają i na śmierć zadręczyć potrafią. Ale można się przed nimi bronić. Kto dziadom cześć należną oddaje i nie zapomina o tym, żeby im nigdy nie zabrakło jadła, napoju i ciepła na ognisku, ten nie ma się czego bać.

— Ja się nie boję — mówi drżącymi ustami Ziemko, przytulając się do towarzysza. — Ale tu w Gaju tak dziwnie o zmierzchu, już lepiej nic nie mów!

— Sam przecież wciąż pytasz i pytasz — śmieje się Dobek. On także ma już dość tej leśnej ścieżki. Na szczęście kończy się ciemna dąbrowa. Przed chłopcami rozciąga się teraz okrągła polana, rozłocona słońcem. Na środku polany pod ogromnym, starym dębem stoi maleńka chatynka. Przed nią na kłodzie drzewa, siedzi starzec olbrzymi, brodaty w białej szacie płóciennej, przepasanej pasem skórzanym, pięknie nabijanym mosiężnymi blaszkami. Wiatr rozwiewa jego siwą brodę i rozwichrza długie, białe jak mleko włosy.

— Witaj — mówi do Ziemka głosem głębokim, jak szum stare-

go dębu. — Dziwne wróżby, dziwne przepowiednie unoszą się nad twoją głową w dzisiejszy dzień uroczysty. Pytałem się ognia i wody. Ogień i woda jedno mi powiedziały. Idź rzeknij ojcu tak: Wnuk Ziemowita koronę książęcą na głowę włoży. Plemiona Pomorzan Mazowszan, Ślęzan, Opolan, Wiślan, jako panu kłaniać mu się będą. I tylko ta żałoba wielka przez niego na lud nasz spadnie, że zginą stare bogi. Przeminie jasny Dadźbóg i dobry Swarożyc. Pod toporami padną święte gaje. Przepadną ubożęta. Na rozstajach dróg stanie znak nowego Boga. Dwa drewna złożone na krzyż. Wracaj do domu, do ojca...

Przerażony Ziemko chwyta za rękę pobladłego Dobka i pochyla się do kolan starca w pokornym ukłonie. Słowa jego brzmią mu jeszcze w uszach, jak szum lasu w czasie nadlatującej burzy. Lęk chwyta go za gardło. Chłopcy pędem przebiegają przez polanę i raz jeszcze oglądają się na starca. O, byle prędzej dobiec do chaty. Już niedaleko, jeszcze tylko parę kroków...

Nagle Ziemowit zatrzymuje się w biegu. Spogląda zdumiony na drogę. Od zamku idą dwaj podróżni. Szaty mają białe i jasne, promienne oblicza. Zbliżają się ku wrotom Piastowej zagrody. W rękach niosą długie laski... Wielkie wzruszenie zapiera Ziemkowi oddech. U góry laski widnieje znak nowego Boga: dwa drewienka złożone na krzyż.

Helena Zakrzewska.



JAKIŻ TO BÓG

Przemko gnał, ściskając piętami boki dyszącego podjezdka. Wąska ścieżyna leśna rozjaśniana była od czasu do czasu błyskawicami. Migały przed oczyma jeźdźca konary drzew, deszcz chlustał z poszarzałych chmur. Niechby i zmroczyło się do cna. Przemko wyznawał się w lesie, niczym w osiedlu własnego rodzica. Mało to razy przemierzył ostępy leśne to konno, to na swych krepkich nogach? Teraz kwapił się w niebylejakim celu. Dopieroż sprawi uciechę towarzyszom i starszyźnie, skoro im wieść przyniesie pożądaną!

Chmury czerniały coraz szybciej a ze spękanych ich kłębów wylewała się niczym ze dzbana woda. Nie był to już deszcz. Ba — więcej niż ulewa zwykła. Koń raz wraz ślizgał się na rozmiękłej ziemi. Naraz chłopca oślepił różowy blask, straszliwy huk uderzył weń jak taranem. Rzucił się oszalały koń, rżnął Przemko głową o coś twardego. Zakotłowała się ciemność. Niczym kloc drzewny zwalił się jeździec w dół. Chciał rozewrzeć powieki, ale sił mu nie stało.

Ocucił go ból przejmujący. Pragnął się poruszyć, zawył krótko i legł nieruchomo. Nad leżącym wyrostkiem piętrzyły się gałęzie, z których miarowo spadały grube krople deszczu. Przezierało przez nie słońce. Wokół cisza.

— Jest po burzy a ja leżę w jakowymś wykrocie. Jużci to koń, przerażony bliskim piorunem strącił mnie na ziemię a raczej do tej jamy. Co począć?...

Próbował raz jeszcze dźwignąć się. Daremnie. — Widać wywichnąłem nogę albo i złamałem.

Rozpacz targnęła leżącym. Miał przecie donieść swoim, co ujrzał na polanie, odległej o kilkanaście stai. Naraz gałęzie poruszyły się, ukazała się wśród nich czyjaś twarz. Przemko zadrżał, jakoby nieczystą uwidział siłę. Twarz zagadała:

— Człowiecze, jęczysz a jęczysz. Coć się przydarzyło?

Nie odpowiadał Przemko. Owa twarz — zemsta go okrutna niechybnie czeka. Twarz odezwała się powtórnie:

— Ranę odniosłeś pewnikiem srogą. Poczkajże.

Zaszeleściały gałęzie. Skoczył w głąb jamy i obok leżącego stanął młodzieniec o roztropnym obliczu. Przyglądnął się Przemkowi.

— Tyżeś to Przemko, syn starego Gryfity?

— Jam jest.

— A mnie zowią...

— Nic mi z twego imienia — przerwał gwałtownie Przemko. A jeśli niewiada ci, co czynię?

— Wiem o tym. Aliści później pogadamy. Widzę, że pęk sznurów masz u boku. Przednio się składa, bo cię tym sposobem stąd wyciągnę.

Młodzieniec okręcił powróz pod pachami Przemka, wydostał się zręcznie z jamy i pociągnął za koniec sznura. Przemko, podtrzymując się rękoma, powoli wydobywał się z wykrotu. Kiedy wreszcie znalazł się na trawie, młodzieniec nachylił się nad nim:

— Pokaż nogę. Oczywista. Naciągnąłeś ją. Chwalić Boga, złamana nie jest.

Ujął w ręce bezwładną nogę Przemka.

— Chwilę niewielką ból dojmie i ulży ci zarusienko.



Przemko jęknął raz i drugi. Przymknął oczy a gdy je otwarł, młodzieniec odezwał się z uśmiechem:

— W porządku. Za kilka dni chodził będziesz, jak dawniej. I znachora nie potrza. Głodnyś?

— Po co to wszystko czynisz? — wykrzyknął Przemko. — Zali wiesz z kim mówisz?

— I jak jeszcze. Srodze nas prześladujesz. Przecz?

— Bo was nienawidzę. Was wszystkich, którzy bogów naszych obalacie, zamęt siejąc wszędy. Ale nasz Światowid pomstę na was weźmie, a jam jego sługa pokorny. Wyszpiegowałem was, ciebie i towarzyszy. Schodziliście się za polaną, koło strumienia, tam praktyki swoje odbywaliście. Wieszli pocom gnał teraz na oklep? Aby rodzica mego i wojowników jego na was powieść. Sznury, które mam u boku, na was gotowałem. Ten oszczep, jaki do pleców mam przymocowan, także na was. Teraz mnie zabij.

Młodzieniec westchnął:



Tyle zawziętości. I o co?

— Zabij mnie — powtórzył Przemko. Inaczej, jak tylko moc odzyskam, uczynię to z tobą.

— Nasz Bóg zabijać nie dozwala a skrzywdzi mnie kto, tedy dobrym uczynkiem winienem odpłacić.

— Ocaliłeś mnie, wiedząc, że jestem waszym wrogiem. Atoli, gdybym ci teraz zło wyrządził, darowałbyś mi to?

— Nie wszedłbym do królestwa Pana mojego, chowając w sercu urazę do bliźniego. Powiedział tak nasz Bóg. A modlić się kazał nam: odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Przemko zatrząsł się.

— Słuchaj ty! Upokarzasz mnie twoją dobrocią. Nigdy ci tego nie daruję.

Młody człowiek odparł spokojnie.

— Bóg mi świadkiem, że nie chciałem, abyś się rozgniewał na mnie.

— Przestań! — wrzasnął Przemko. Rzuć się na mnie! Zabij! Ty mną gardzisz...

— Nie gardzę ja tobą. Jeno słucham nauk Mistrza mego.

Przemko dyszał ciężko.

— Odpuścisz mi moje winy, co bądź bym z tobą uczynił?

— Odpuszczę — odparł młodzieniec.

— To masz — zawrzasnął Przemko. Równocześnie zdarł z pleców oszczep i wbił go w pierś młodzieńca. Ten zachwiał się, ogarnął zdumionym spojrzeniem Przemka, zatrzepotał rękoma, postąpił kilka kroków i runął na kolana. Wtedy przyłożył rękę prawą do czoła, po czym dotknął nią piersi i kolejno obydwu ramion. Wreszcie splótł ręce. Oczy miał wzniesione ku niebu. Coś szeptał. Przemko nie ważył się odezwać. Wpatrywał się w twarz ranionego, który powoli osunął się na trawę.

— Com uczynił — jęknął Przemko. Przywlókł się do leżącego. — Daruj. Daruj. Złe moce mnie opętały.

Młodzieniec położył rękę na ramieniu Przemka.

— Nie biorę ci za złe twego postępku. Żal życia, prawda i to. Ale mnie Stwórca do Siebie woła. Patrzajże. Lżej cierpieć, gdy składa się to na chwałę Bożą...

— Zawołam o pomoc — jąkał Przemko. Przybieżą. Nic zamrzesz. Sługą twoim będę...

— Nic już ze mnie. Jak boli... Boże wybacz, że się skarżyć ośmielam.

— Powiedz mi co o twym Bogu. Póki życia nie zrozumiem tego. Jakże!.. giniesz z mojej ręki i nie złorzeczysz? Jak wściekły pies postąpiłem z tobą, a ty mi wybaczasz? Jakiż to Bóg, który miłosierdzie nakazuje?!

— Tenci to Bóg, w imię którego mamy jego wiarę szerzyć i jako woje, z pod jego znaku, ginąć. Nie gwałtem, nie przemocą, nie uciskiem przystoi zyskiwać dusze dla wiary naszej. Tenci to Bóg, który za nas, jak niewolnik lichy na krzyżu zmarł, aby odkupić nieprawości nasze. A imię Jego jest Chrystus...

Głowa młodzieńca zwisła bezwładnie w rękach Przemka. Ten milczał, jak rażony gromem. Poczem zawołał:

— Wierzę w Ciebie, Chryste...

Wiesław Gorecki

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA



W OBOZIE

...Urządzić nocą podejście do »starszego« naczelnego obozu! Podkraść się niepostrzeżenie i wrócić, zostawiając kartkę na znak swego pobytu...

...Ha!...

Zamysł raz powzięty palił stopy żądzą szybkiego wykonania. Zaraz! chociażby dziś jeszcze!... Księżyc świeci jasno... za jasno nawet... Nie szkodzi... Nie odkładać! Nie odkładać!

— Zula, śpisz? — trącały ją przy wieczerzy koleżanki.

— Nie, nie spała, była tylko zamyślona, pogrążona w sobie samej, urzeczona własnym bohaterskim zamiarem, obmyślająca naprzód każdy krok, przewidująca zawczasu wszystkie przeszkody.

...Ależ to chyba przyjdzie iść przez dawny obóz, o Jezu! Łąką nawprost ani marzyć, bo zobaczą...

— Co mówisz, Zula?

...Nic... nic...

...Tak... tak... przez dawny obóz... Łąka cała oświetlona księżycem, widać na niej najmniejszy cień, a one czuwają przecie... Jak to mówiły?... »Automatycznie!« »odruchowo«... Zaskoczenie nie do pomyślenia... Nie do pomyślenia... Zapewne i naokoło przez krzaki nie uda się... Może jednak...

— Ale ty ciągle coś gadasz?...

— Nic.. nic... Rozbieram się właśnie... Śpij...

Skulona na swym posłaniu w namiocie, czekająca aż towarzyszka twardo zaśnie, mała dziewczynka przeżywa wszystkie dostojne wrażenia wypełniające duszę człowieka ważącego się na czyn samotny, bohaterski i szalony. Czyn wielki, wymagający skupienia wszystkich sił, opanowania doskonałego samego siebie, zebrania w mocne cugle woli wszystkich odruchów, nerwów, gestów... Nie większe wrażenia przeżywali potężni, nieśmiertelni w historii rycerze, w przeddzień bitew mających decydować o istnieniu państw, narodów. Bo nie rozmiary zamysłu znaczą, ale wzajemny stosunek sił porywającego się i przedsięwzięcia.

Mała dziewczynka zawiniła ciężko, ulegając pokusie snu, gdy trzeba było czujnie stać na warcie. Przez to jej niedbalstwo cały obóz Powiewów jest narażony na przytyki, pohańbiony. Słusznem jest tedy, by ona, nie kto inny, uratował zagrożony honor swojego zastępu. A to się nie da osiągnąć małą ceną, o nie!

Hanka wyciągnięta na sienniku śpi już smacznie, nie domyślając się niczego. Zula porywa się szybko, zwija prześcieradło pod pachę (narazie nie jest jeszcze potrzebne) wysuwa się bosa z namiotu. Biegiem ostrożnym ku krzakom.

— Zula! Gdzie idziesz? — woła za nią Marta, stojąca na warcie.

— Zostawiłam na dworze mój koc... Tam gdzie zbierałyśmy jeżyny...

— Też gapiostwo!

Wzruszywszy pogardliwie ramionami, warta odwraca się w przeciwną stronę. Chwała Bogu! Konieczność kłamstwa jest okolicznością towarzyszącą nieraz wielkim zamysłom, a bynajmniej nie najłatwiejszą. Omijając ciężkie od rosy krzaki, Zula idzie żwawo. Ten odcinek drogi jest bezpieczny. Otulone w tuman księżycowej poświaty bieleją namioty podobozów Podmuchów i Poświstów. Krzaki zasłaniają idącą, nie trzeba nawet zbyt uważać na drogę...

Oj, lepiej zawsze uważać, bo oto z wilgotnym pacnięciem, lepka gałąź chmielu przejeżdża po twarzy dziewczynki, zostawiając czerwoną dokuczliwą pręgę. A poniżej czuwają pokrzywy, dziwnie w tym miejscu gęste.

Lecz kto by dbał o pokrzywy, gdy innego rodzaju groza czai się na drodze.

Nim opuści bezpieczną zasłonę krzaków, Zula staje nieruchomo, nie mogąc zdecydować się na wybór drogi. Można by teraz iść na wprost przez łąkę ku wzgórzu, na którym stoi komenda. Blisko i łatwo, lecz dojrzą niechybnie. Albo przemykać się naokoło pagórkami, i dopiero przed samym obozem spuścić się na łąkę, by przebrnąć bród w płytszym miejscu.

Droga taktyczniej pewniejsza... Ale...

Żegnając się raz po raz znakiem krzyża, Zula rusza śmiało naprzód. O, jak ciężko iść samej przez te straszne okolice! Poznaje już każdy krzak. Daremnie odsuwane, tłoczą się przypomnienia wszystkich rzekomych zjawisk. Chwiejąca się zasłona namiotu... wycie psa-wilkołaka... sapanie krowy nie-krowy... Strach... strach... strach...



Jakimże strasznym wrogiem człowieka jest strach! Jest żywiołem mogącym wszystko unicestwić. Jest silniejszym niż rozum, nauka, doświadczenie. Zwalczyć strach jest trudniej niż przemóc nienawiść, żądzę, dumę. I dlatego wszystkie ludy i wszystkie religie stawiały po wszystkie czasy na czele zasadniczych cnót — męstwo.

Mała harcerka jest mężna, lecz ciemna potęga dobiera się do niej, do drobnej dziewczynki idącej śpiesznym, nierównym jak rytm strwożonego serca krokiem. Opada ją nagle z tyłu i z przodu, zabiega z boku, zdyszanym szeptem powtarza: uciekaj! wróć!... Czy widzisz miejsce gdzie była wasza kuchnia?... Tam za nią są mogiły... Widzisz je?... Wszyscy we wsi mówią, że koło nich straszy... Szczególnie gdy miesiąc świeci... Tak jak dziś... Właśnie, jak dziś... Uważaj... Coś się tam rusza... Ten cień... Od czego ten cień?... Za tamtym drzewem ktoś stoi... Pamiętasz jak was straszyło?... Wszystkie... To nie przywidzenie... Duchy są tutaj naprawdę... wróć!...

Biedne, zapomniane, ledwie widoczne z pod trawy mogiłki, w rozbujałej wyobraźni, w podszeptach strachu urastają do rozmiarów niesamowitych, niezwykłych. Jak gdyby cała ziemia, każda jej piędź, nie była zlepkiem mogił, kości i prochów, jak gdyby ustawicznie nie otaczało nas stokroć więcej zmarłych niż żywych!

...Wróć!... wróć!... — mówi strach do ucha małej Zuli, ale ona idzie naprzód. Pot zimny kapie jej z czoła. Odmawia setny raz z kolei »Wieczny odpoczynek«, na intencję obu honwedów, których kości przed siedemnastu laty pogrzebane dawno rozprzęgły się, zmieniły w jeżyny i zioła, wonny rozchodnik i chrzęszczącą macierzankę, gdy dusze snują swoje, Bogu tylko wiadome, od Boga przeznaczone koleje, równie nieświadome wzbudzonego przez nie lęku małej dziewczynki, co mrugające wysoko nad nią gwiazdy.

Idzie. Idzie. Teraz mogiły są za nią z tyłu. To gorzej. Po stokroć gorzej. Jak w starych bajkach ogarnia nieodparta chęć oglądania się za siebie, a wraz poczucie, że nie można tego robić. Bo napewno dojrzy się coś... coś... strasznego... Coś co goni, dopada... nadbiega...

Lecz Zula się nie odwraca. Idzie tylko coraz prędzej, coraz szybciej. Groby już są daleko. Najgorsze przebyte. Przynajmniej tak się jej zdaje. Teraz trzeba się spuścić na wzgórza ku łące, przebrnąć rów i już tylko kilkadziesiąt kroków pod górę dzieli od głównego obozu. Maszt kreśli się strzałą na tle nieba, ciemny z jednej strony, z drugiej od księżyca srebrny.

W którym miejscu przejść przez rów?

Na łące byłoby łatwiej Woda jest tam płytsza, mniej zarośnięta, no i jasno. Ale



z obozu dopatrzą! Te starsze, które »automatycznie«, »odruchowo« czuwają, »niemożliwe do zaskoczenia«, wyśledzą natychmiast małą figurkę przebierającą się przez rów na tle ogólnej białości wełnianki. Trudno, trzeba brodzić w ochronnej ciemni tuż pod krzakami, gdzie rosną najgęściej splątane sitowia, gdzie woda teraz przepastnie czarna, w dzień jest pomidorowa od rud żelazistych.

Odważnie Zuła obsuwa się w dół i — cofa. Grząskie bagno w nocy... Kto brnął przezeń choć raz w dzień, domyśleć się może czym jest w ciemności. Wilgotne, śliskie łodygi oplątają nogi. Stopa powoli zapada się coraz głębiej, bańki powietrza bulgocą złowrogo. Grzęzawa sięga tylko po kolana, lecz wydaje się, że za chwilę ogarnie po pas, po ramiona, po szyję... Nogi wyrywają się z trudem. Lepki muł wyciska się poprzez palce stóp. Spłoszone ruchem podnoszą się z dna jakieś gady. Pijawki, raki, może węże?... Ktoś mówił, że tu trafiają się żmije... Żmije nie nocują w wodzie... Ach, prawda, nie nocują... Niemniej wstręt i lęk pętają ruchy. Ciemna, gęsta, rojąca się od nieznanych stworzeń woda przejmuje odrazą. Bosa noga utyka naraz w jakiś kształt plugawy rozstępujący się miękko pod naporem. Pewnie zbutwiała kłącza dzikiej kalii, lecz mimo woli przychodzi na myśl: topielec!... Ciało w rozkładzie, albo padlina zwierzęca... Znów szept poprzedni: Uciekać! Uciekać!.. Ale Zuła nie ucieka.

Zmęczona, jakby przeprawa trwała Bóg wie jak długo, wychodzi na brzeg, ociera nogi zwalane mułem o czystą, wilgotną trawę. Parę kroków jeszcze pod osłoną krzaków i odkryta łąka. Owinąwszy się w prześcieradło, przypada do ziemi i zaczyna podchodzenie według wszelkich zasad sztuki. Pełznąc jak wąż, zieleniąc sobie kolana i łokcie, posuwa się wolniutko, wolniutko, centymetr po centymetrze. Inaczej nie można. Czujne oczy warty śledzą niewątpliwie łąkę. Zauważą odrazu nieprzyjaciela, jeśli, nie zachowa należytej ostrożności. Toteż od czasu do czasu mała harcerka przystaje, leży długą chwilę nieruchomo, czeka, nasłuchuje, rusza dalej... **(Dokończenie nastąpi.)**

REDAKCJA »Młodego Lasu« bardzo prosi o nadsyłanie jej ładnych zdjęć fotograficznych na lśniącym papierze. Dobre zdjęcia będą nagrodzone.



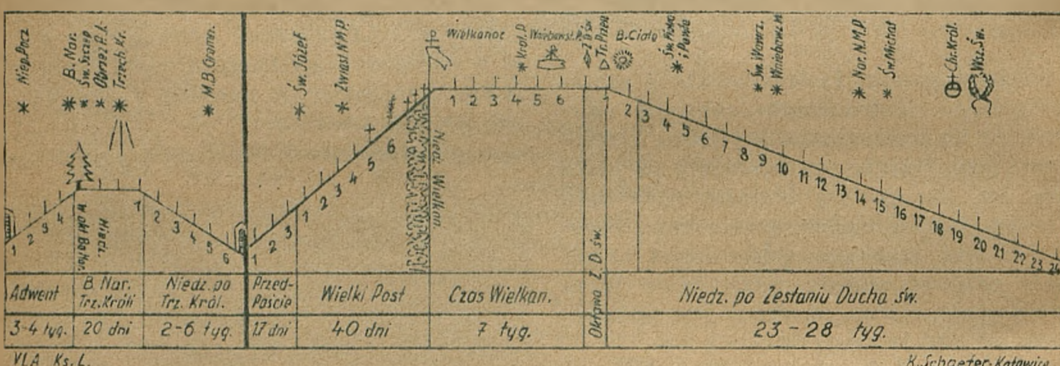
POPRZEZ ROK KOŚCIELNY

Józek był bardzo bystrym chłopcem. Na wszystko umiał znaleźć w lot odpowiedź. Niedość, że odpowiadał trafnie na zadawane mu w szkole pytania, ale umiał jeszcze każdemu wyjaśnić rozmaite bieżące wypadki. Dość mu było rzucić okiem na przelatujące samoloty, by rozpoznać natychmiast ich znaki i przeznaczenie, znał się także na stopniach wojskowych, odróżniał ubiory wielu zakonników i zakonnic. Taki prawdziwy mędrzec!

Jedna tylko rzecz zaciekawiała ogromnie Józka — obrzędy w kościele. Gdyby go ktoś zapytał dokładniej o te sprawy, nawet on, Józek, nie umiałby odpowiedzieć. Uświadamiał to sobie szczerze. Koledzy wprawdzie nie rozmawiali wiele o uroczystościach i cezek kolor różowy.

Musiało to wszystko posiadać jakieś znaczenie, ale tego właśnie Józek nie wiedział dokładnie. Jakby to było przyjemniej pomodlić się w kościele, gdyby się rozumiało lepiej znaczenie owych wszystkich obrzędów! Usiłował kilkakrotnie zagadnąć starszych kolegów a nawet rodziców, ale nie zadowolili go w zupełności. Pozostawał ksiądz Prefekt. Trochę się wprawdzie czuł Józek onieśmielony, ale przecież ksiądz Prefekt zachęcał ich tak szczerze, by się zwracali do niego z każdą swoją trudnością!

Nazajutrz rano, zaraz po Mszy św. skoro tylko ksiądz odmówił zwyczajne modlitwy, podszedł do niego z uszanowaniem.



ROK KOŚCIELNY

remoniach kościelnych, niemniej Jozka pociągały one ogromnie. Zwłaszcza odkąd został ministrantem.

Tyle podniosłych i tajemniczych rzeczy w kościele! Nie mógł się im dość napatrzeć ani nasłuchać, a już szczególnie wzruszała go każda Msza św. śpiewana. Chociaż nie umiał po łacinie, jednak dziwnie spodobał mu się śpiew prefacji i jakaś tęsknota napełniała go, gdy się wsłuchiwał w melodie Pater noster. A ileż odmian napotykał w ciągu roku! Ich szkolna kaplica inaczej wyglądała w czasie Wielkiego Postu, inaczej w okresie Wielkanocy. Całkiem znów odmienny nastrój przynosiły święta Bożego Narodzenia. Na każdą prawie uroczystość pojawiały się nowe barwy. raz ksiądz ukazywał się w ornacie zielonym, kiedyindziej w białym, czerwonym, fioletowym, czarnym. Dwa razy nawet zauważył Jó-

— Proszę księdza Prefekta, czy nie mógłbym o coś zapytać?

— Proszę bardzo. Czegoś chciał, Józiu?

— Ale to trochę dłuższa sprawa, proszę księdza... Hm, jakby to powiedzieć? Otóż ogromnie lubię chodzić do kościoła, podobają mi się bardzo ceremonie, śpiewy... Ale nie mogę wszystkiego zrozumieć. Raz są takie obrzędy, raz inne...

— Nie dziw się, Józiu, to są rzeczy bardzo podniosłe. Mają swoje głębokie znaczenie...

— Właśnie chciałem Księdza prefekta zapytać...

— Doskonale — odrzekł ksiądz z uśmiechem. — Dziwi cię, że się obrzędy zmieniają i dlaczego się zmieniają?

— Tak...

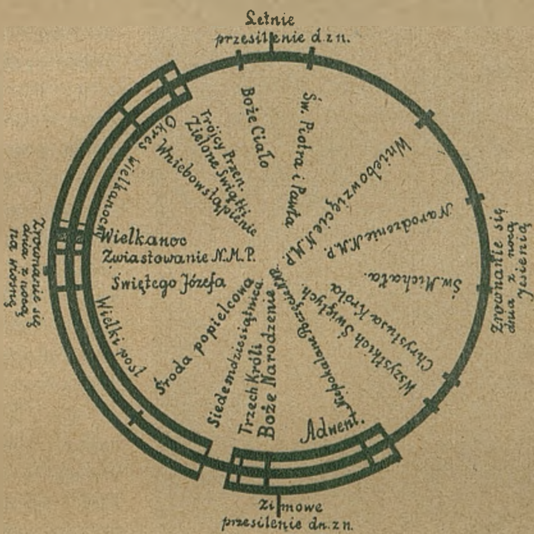
— Przypatrz się, Józiu, dokoła. Mamy przed sobą śliczną jesień. Drzewa uginają się

pod owocami, mienią się kwiaty. Tak nam dobrze i bezpiecznie. Za parę miesięcy przyjdzie jednak zima. Dni staną się krótsze, powieją mroźne wiatry, ziemię okryje śnieg. Przyroda jakby utraci swe siły. Nie na długo przecież. Zaświeci znów mocniej słońce, nadbiegną ciepłe podmuchy — zginą lody i śniegi. ukażą się z powrotem kwiaty i zieleń.. Powitamy wiosnę. Życie przyrody wzrasta. krzepnie. Już wszystkie ogrody i pola pokrywają owoce. Lato. Tak wyglądają pory roku. Zależy to od położenia ziemi względem słońca. Słyszałeś pewnie o tym?

— Tak, mówił nam pan nauczyciel.

— Otóż i w Kościele są jakby pory roku. Jak cała przyroda zależy od słońca, tak tutaj wszystko zależy od Chrystusa Pana. Chrystus Pan jest dla dusz naszych tym, czym dla ziemi jest słońce. Jak rok zwyczajny ma swoje dni, tak i rok kościelny ma także swe własne dni.

Podobnie są i pory roku kościelnego. Jak w przyrodzie zawisły one od położenia słońca, tak tutaj od życia P. Jezusa. W ciągu roku kościelnego wpatrujemy się w P. Jezusa i rozważamy Jego życie.



Otóż więc — rok kościelny jest to jakby wędrówka, jakby podróż w górach ku szczytowi, którym jest P. Jezus. Raz się wznosimy, raz jakby schodzimy, raz jesteśmy w pełnym świetle, innym razem ogarnia nas jakby cień. Różne uczucia opanowują nas w takiej podróży: radość, smutek, nadzieja. Jakie uczucia w duszy, takie i obrzędy w kościele — poważne, wesołe, smutne, pełne nadziei. Ale o tym jeszcze porozmawiamy, prawda, Józiu?

— O tak, proszę księdza. S. K.

Zdobywanie twierdzy

Uczestnicy gry tworzą dwa koła: jedno małe środkowe, drugie na zewnątrz. w pewnym odstępie od pierwszego. Grający z zewnętrznego koła otrzymują piłkę siatkową i na znak sędziego strzelają do koła wewnętrznego, usiłując sprytem i celnością wyprzedzić broniących »twierdzy«. Koło wewnętrzne odbija piłkę, starając się nie dozwolić przedostać się jej do wnętrza koła. I odwrotnie, jeżeli koło środkowe odbije umiejętnie piłkę, zdobywa także punkt.

Przed grą obydwie partie zaznaczają sobie swoje pozycje, żeby w czasie gry nie robić za dużych wybiegów.

Wygrywa ta partia, która w określonym przez sędziego czasie zdobyła więcej punktów.

Dla ożywienia gry można użyć dwu piłek. Zofia Lenartówna



Z życia grzybów



Wśród butwiejących liści, szpilek i gałezi na wilgotnym podłożu wyrasta duża ilość różnobarwnych grzybów. Cóż to za twory natury? Nie widać u nich pędu, ni liści, a co najważniejsze — kwiatu. Są to jednak rośliny bardzo ciekawe. Kiedy wyrywamy je z ziemi, zawsze na końcu trzonka spotykamy cienkie białe włókienka oblepione ziemią, zupełnie podobne do korzeni roślin zielonych. Po dokładniejszym i ostrożniejszym oglądnięciu tych włókien, widzimy jednak dużą różnicę. Są one bowiem równe na całej długości, a nie grubieją, stopniowo zbliżając się do pnia, jak się to dzieje u innych roślin. Kiedy zbadamy dokładnie miejsce, gdzie znaleźliśmy grzyba usuwając warstewkę butwiejących liści czy igliwia, znajdziemy tam gęsty splot takich delikatnych nitek, podobnych do pajęczyny. Trudno byłoby uwierzyć w pracę pająka, który by pod ziemią zakładał sieci zdradzieckie. Po co? — nie ma tam przecież much. Dopiero oglądanie pod szkłem silnie powiększającym wyjaśnia tajemnicę. Nitki te są żywymi komórkami grzyba. jest to właśnie część grzyba, spełniającą rolę korzenia.

Dobry zbieracz znajdując w lesie jednego grzyba, szuka w pobliżu jego brata. I najczęściej go znajduje. Nie badając bliżej przyczyny tego życia towarzyskiego, gotowi bylibyśmy przypisać grzybom jakiś pęd do towarzystwa, zwłaszcza kiedy spotykamy tzw. »koło czarownic«, ułożone z ustawionych równo mniejszych lub większych okazów. Te właśnie »koła czarownic« wyjaśniają nam cały sposób życia grzybów.

Kiedy bowiem malutki zarodnik spadnie na wilgotną i cienistą ziemię zaczyna kiełkować. Następnie wydaje na wszystkie strony delikatne, nitkowate wypustki. Rosną one we wszystkich kierunkach, równolegle do powierzchni ziemi, tworząc splątaną sieć, która przypomina pajęczynę. Dopiero na obwodzie tej plątaniny grzyb zaczyna się zmieniać i wytwarza zgrubiałe, buławkowate zakończenia. One to dźwigają ziemię i całą ściółkę leśną i pokazują się nad powierzchnią w postaci znanych każdemu grzybów. Część nadziemną grzyba tworzy również grzybnia splątana i pokręcona, ale nie tak luźna jak pod ziemią. Jest ona tu zbita tak silnie, że na przekroju gołym okiem nie da się już wyróżnić osobnych nitek. Ta część grzybni, wyrastająca ponad ziemią, służy do wytwarzania i rozsiewania zarodników. Nosi zatem nazwę owocnika. Błona zaś komórkowa u grzybów składa się nie z błamika jak u innych roślin lecz z chityny, substancji azotowej bardzo rozpowszechnionej w państwie zwierzęcym. U roślin zaś poza grzybami chityny się nie spotyka. To co nazywa się grzybem w języku potocznym, jest tylko zgrubiałą częścią grzybni. Wytwarza ona rarodniki, które po dojrzewaniu odpadną od macierzy. Następnie kiełkują w ziemi, ażeby dać początek nowym »kołom czarownic«.

Grzyby odznaczają się dużą rozmaitością kształtów. Niektóre z nich są pożyteczne i służą za pokarm dla człowieka, inne zaś są silnie trujące, a jeszcze inne, pasorzytując na żywych roślinach a nawet zwierzętach, zniekształcają ich organizmy.

Już z codziennego życia znamy rozmaite postacie grzybów kapeluszowych, dla których odróżniającą cechę stanowi trzonek z nasa-

dzonym nań mniej lub więcej płaskim kapeluszem, zabarwionym na najrozmaitsze kolory, począwszy od bronzowego u borowików, aż do czerwonego u muchomorów. Gdybyśmy odcięte kapelusze borowika i muchomora położyli na czarnym papierze, to zobaczymy po pewnym czasie, że dolna strona kapelusza zostawiła na nim jakby swoją fotografię w postaci jasnego pyłku. Pyłek ten, to zarodniki grzybów, rozmieszczone na króciutkich podstawkach. U muchomora rozchodzą się one gwiazdzisto w blaszkach kapelusza, borowik natomiast ukrywa je w malutkich woreczkach schowanych w rurkowatych zagłębieniach spodniej strony kapelusza. Pleśń utrapiona, opadająca chleb, owoce itd. w postaci gęstej pajęczyny, wytwarza kolorowe plamy z kulkowatych lub pędzelkowatych zarodni. Silniejszy prąd powietrza porywa tysiące tych zarodników i roznosi je wszędzie. To też pełno jest ich w powietrzu. Dostawszy się do nieszczelnie zamkniętych słoi z konfiturami czy innych pokarmów, kiełkują i wytwarzają nowe, potomne kolonie.

Podczas żniw w kłosach żyta spotkał każdy z nas czarne malutkie rogalki. Jest to zbita masa grzybka zwanego sporyszem. Rożek sporyszu może przetrwać całą zimę pod śniegiem i wytworzyć na wiosnę zarodniki, które zakażą następne zasiewy. Dlatego szkody, jakie sporysz wyrządza w zasiewach, można sobie wynagrodzić przynajmniej częściowo, zbierając zdrowe rogalki i sprzedając w aptece. Ten niepożądany pasorzyt ma jednak duże zastosowanie w lecznictwie. Pasorzytujący na jęczmieniu, owsie, pszenicy i kukurydzy inny rodzaj grzyba zwany śniecią czyli głownią, wytwarza w ziarnie masę zarodników w postaci czarnego proszku, który zakaża całe otoczenie. Zaś rdzawo-żółte i pomarańczowe prążki spotykane na liściach i łodygach zbóż, to nic innego, tylko zarodniki pasorzytującego grzyba zwanego rdzą zbożową. Jest rzeczą znamienną dla rdzy, że potrzebuje ona do życia także drugiego żywiciela, mianowicie liści berberysu. Dlatego niszczenie berberysu jest jedynym lekarstwem w walce z rdzą zbożową. Również spotykane na drzewach szpilkowych »czarcie miotły« wywołuje żyjący tam grzybek z gatunku rdzy. Nie są wolne od niego i korzenie tych roślin. Nitki grzyba wzrastają w komórki drzewa i wysysają soki odżywcze, na skutek czego reszta drzewa cierpi głód, karleje i powoli zamiera. Specjalny rodzaj grzybka zwanego zarazą muszą odznacza się ciekawym sposobem rozsiewania zarodników: Mianowicie pojedyncze zarodniki zostają wystrzelone z zarodni z dość znaczną siłą, i kiedy trafią, w przelatującą muchę, wrastają w jej żywe ciało, żyjąc jej sokami. Mucha trapiona nowym a wielce niepożądanym lokatorem siada w cichym kącie lub na szybie okiennej i czeka spokojnie śmierci. Niekiedy i pośród ludzi spotyka się narośle i guzowatość skóry, które są miejscem osiedlenia się specjalnego gatunku grzyba.

Wreszcie znane powszechnie drożdże, to nic innego, tylko malutkie grzybki, powodujące rozkład cukru na alkohol i gaz zwany dwutlenkiem węgla. Używa się ich dlatego do wyrobu win i piwa, a także jako zaczynu do ciasta. Rośnięcie takiego ciasta wywołuje właśnie gromadzenie się coraz większej ilości tego gazu.

Jak widzimy z powyższego, krótkiego zestawienia, tak warunki życia grzybów jak i ich postacie są rozmaite. Większość przynosi tylko szkody człowiekowi, niszcząc uprawiane przez niego rośliny, część zaś niewielka przynosi pożytek.

Joanna Sędzik-Kłapkowska

W poprzednim numerze „Młodego Lasu" w artykule pt. „Skrzydlaci letnicy" zakradła się z winy redakcji przykra pomyłka. Zamiast słów: „Najdalej, bo aż do Afryki środkowej odlatuje wilga, kukułka itd., winno być: „Najdalej, bo aż do Afryki południowej... itd.



Fot. „Światowit"

ECHO MŁODEGO LASU

Gwarno i wesoło w Krucjacie kórnickiej. 136 rycerzy i rycerek skupia się wokół sztandaru eucharystycznego. Aż duma wzbiera w sercach rodziców, kiedy patrzą na zwarte i karne szeregi swoich pięknie umundurowanych Rycerzy i Rycerek. Cieszy się z nich zapewne i P. Jezus, gdyż z miłością pełnią przy nim straż w czasie adoracyj Najśw. Sakramentu i ofiarnie służą do Mszy św. Krucjata kórnicka posiada bowiem i 18 ministrantów zrzeszonych w osobnym Kole.

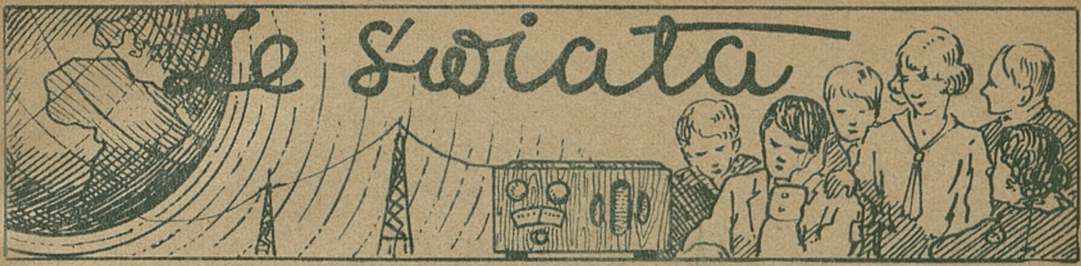
Ale szczególnie podniosłym dniem, jaki na długo pozostanie w pamięci, była pielgrzymka Krucjaty kórnickiej na Jasną Górę od 8-10 czerwca 1938 r. jak to pięknie opisuje rycerka uczestniczka:

»W pielgrzymce, którą prowadził Ks. Dyr. Poczta, brało udział 61 osób. W pierwszym dniu zwiedziliśmy wały klasztorne, na których rozgrywały się bohaterskie sceny w czasie oblężenia Szwedów. W murach tkwią jeszcze do dzisiaj kule szwedzkie, przypominające świetne zwycięstwo na Jasnej Górze a zarazem wielką postać Ks. Kordeckiego. Najwznioślejsze chwile przeżywaliśmy w czwartek rano. Klęczeliśmy w kaplicy cudownej Matki Boskiej tuż u Jej stóp. W tem z chóru rozległ się hejnał napełniający serca nasze świętym drżeniem, gdy drogie oblicze Maryi powoli, uroczyście odsłoniła zasłona. Matka Najświętsza w całym swoim majestacie zdawała się rozmawiać z nami, przykuwając nas do siebie. Wpatrzeni w obraz Najświętszej, wysłuchaliśmy Mszy św., którą odprawił Ks. Dyrektor i przyjęliśmy Komunię św., dzisiaj szczególnie uroczyście«.

M. Rozmiarkówna, rycerka uczestniczka.

Pamiętaj o haśle Krucjaty na wrzesień: Bądź ofiarny dla Pana Jezusa.





◆ Słyszeliśmy wszyscy zapewne o wspaniałym Kongresie Eucharystycznym, jaki się odbył w maju w Budapeszcie. Wypadł on po królewsku. Prawie dwa miliony wiernych oddało hołd Eucharystycznemu Jezusowi. Zwłaszcza dzielnie spisała się młodzież, którą obliczano na 70 tysięcy. Ciekawi zapewne jesteście, kiedy też odbędzie się taki Kngres w naszej Ojczyźnie. Otóż następny Kongres Euch. naznaczony jest na rok 1940 w Nicei, w 1942 w Polsce, zapewne w Poznaniu, w 1944 w Hiszpanni, potem w Belgii.

◆ W tym roku obchodzi cała Francja 300 lecie poświęcenia się N. Pannie. W r. bowiem 1638 pobożny król francuski Ludwik XII oddał Maryi w opiekę i orędownictwo siebie samego i cały kraj. Z okazji tej rocznicy odbywają się wszędzie wielkie uroczysości. Szczególnie wspaniale wypadły one w Boulogne-sur-Mer, gdzie w procesji ku czci N. Panny wzięło udział około 25.000 dzieci.

◆ Według wydanego zarządzenia wszystkie żaglowce floty portugalskiej mają odtąd na swych żaglach nosić wielki znak Krzyża. Pod takim znakiem pływały statki dawnych wielkich odkrywców portugalskch. (Vasco de Gama). Obecne zarządzenie jest nawiązaniem do sławnej przeszłości narodu portugalskiego.

◆ Niedawno pewien francuski proboszcz wyruszył wraz z niewielkim gronem turystów na wysoki szczyt alpejski Chardonnet i na wysokości 3.825 m. wśród majestatycznych turni odprawił Mszę św.

◆ Niezadługo ukażą się na polskim morzu dwie nowe jednostki polskiej floty handlowej. Będą to okręty: »Sobieski« i »Chrobry«. Statki te zastąpią kursujące na linii Ameryki Poł. starsze już okręty »Pułaski« i »Kościuszko«.

◆ Polskie Radio będzie nadawało codzienie dwie audycje dla szkół. Pierwsza audycja ranna będzie trwała od godz. 8—8.10; druga zaś południowa od 11—11.45. Druga audycja będzie pomocą w nauczaniu.

◆ Z dniem 18 sierpnia uruchomione zostały w Polsce dwie stacje krótkofalowe z antenami z wróconymi na Amerykę Południową. Stacje te mają służyć do nadawania audycji dla naszych rodaków z Ameryki Połudn.

◆ Dnia 31 sierpnia odbył się w Paryżu pogrzeb ś. p. Józefa Rafała Mickiewicza, ostatniego syna naszego wieszcza. W pogrzebie wzięli udział przedstawiciele Ambasady polskiej w Paryżu oraz delegacje wszystkich polskich organizacji ze sztandarami.

◆ Może nie wszyscy wiemy, że nasz jezyk polski uważany jest za najpiękniejszy. Kiedy odbywał się we Włoszech konkurs na język najbardziej odpowiedni i nadający się do opery, to na konkursie tym orzeczono, że jest nim właśnie język polski. W Ameryce zaś powiedział jeden z arcybiskupów do naszych rodaków: »Rzeczywiście, słuchając tego wdzięcznego języka, trzeba przyznać, że jest to język, którym można wszystko wyrazić; jest to język aniołów«.

Obraz na okładce przedstawia Grodziszcze polskie — prof. Jakubowskiego.

Warunki prenumeraty w 1938/9 r.

Prenumerata zbiorowa

Pojedynczy zeszyt zakupiony osobno 20 groszy.

Rocznie	3.20 zł
Półrocznie	1.80 „
Kwartalnie	1.00 „

Na każde 15 egzempl. dodaje się jeden bezpłatnie.

W sprawach prenumeraty adresować: WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY, Kraków, ul. Kopernika 26. PKO. nr 400.152. W sprawach redakcyjnych: Redakcja Młodego Lasu. Kraków, ul. Kopernika 26.

Redaktor: KS. STANISŁAW KUŹNAR T. J.

Za pozwoleniem Władzy duchownej. — Drukarnia Apostolstwa Modlitwy (Księży Jezuitów).


Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Polsce
mal. J. Matejko